



Zaginiona misja

W nazwie Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego zakodowane są dwie misje: dbania o rozwój nauki i kształcenia studentów. Obydwie misje wiążą się ze sobą jak najściślej, co było i powinno być nadal oczywiste dla każdego. Oczywiście było to bowiem od początku powstawania uniwersytetów, trwało przez całe wieki, i takim stało się też współcześnie dla twórców Wielkiej Karty Uniwersytetów Europejskich, tzw. protokołu bolońskiego, oraz dla ludzi, których nazwiska zapisały się złotymi zgłoskami w dziejach naszej nauki. Oczywiście, naukę uprawia się nie tylko na uczelniach wyższych, lecz w instytutach naukowych, których kwestia kształcenia na ogół nie dotyczy. Nie znaczy to, że jakkolwiek – powtarzam, jakkolwiek uczelnia o statusie uczelni wyższej (a nazwa uczelnia odnosi się właśnie do uczelni wyższych) może być traktowana jak instytut naukowy i to taki, w którym kształcenie uznawane jest za przeszkodę w uprawianiu nauki. Niestety, takie głosy pojawiają się i pojawiały nawet całkiem niedawno, w środowisku samych naukowców a nawet władz uczelni, i to bez akompaniamentu protestów czy to ze strony innych członków tegoż środowiska czy przedstawicieli instytucji, których powołaniem powinno być dbanie o rozwój tak nauki jak szkolnictwa wyższego, przynajmniej w równym stopniu, zgodnie z zapisaną w nazwie misją.

Jeśli więc reformować przepisy, dotyczące nie tylko instytutów badawczych, ale również, a może zwłaszcza, szkół wyższych, powinno się w odniesieniu do tych ostatnich kłaść nacisk na obydwie ich misje: badania naukowe i nauczanie. A tymczasem? Reformowana (i słusznie) ustawa w znaczący sposób zmieniała swoją nazwę, przechodząc od „prawa dla szkolnictwa wyższego”, poprzez „naukę i szkolnictwo wyższe”, tajemniczo acz podniosłe brzmiącą „Ustawę 2.0”, aż po „Konstytucję dla Nauki”. Zmiana ta odzwierciedla zmianę perspektywy: Szkolnictwo Wyższe wyparowało nie tylko z nazwy, ale, poddawane powolnej destylacji, znikło jak kamfora z sensownej debaty na jego temat. Co więcej – kształcenie zaczęło być traktowane, jak powiedziano, jako „przeszkoda” w rozwoju naukowym nauczycieli akademickich. Niestety, projekt ustawy, której ostateczna nazwa odzwierciedla ten proces, a z którą wiele osób wiązało pewne nadzieje, nie pozostawia wątpliwości, że dydaktyka uniwersytecka (uczelniana) tak właśnie jest traktowana. Oto dowody. Po pierwsze, świetnie brzmiąca „elitarność kształcenia” oznacza jedynie nieco zmniejszoną liczbę studentów przypadających na jednego pracownika naukowo-dydaktycznego. Nie ma mowy o jakości tegoż pracownika, przeciwnie, za normę uznaje się to, że kształcić

mieliby również – szczególnie – ci, których rozwój naukowy albo pozostawia wiele do życzenia, albo jest z jakichś względów niemożliwy. To oni, nie będąc zmuszonymi do rozwoju naukowego, mieliby stać się „zastygłymi” w swoich dawnych formach nauczycielami akademickimi (?), legitymizującymi się wiedzą, jaką nabyli w czasie studiów kilka, kilkanaście bądź kilkadziesiąt lat wcześniej. Mając doktorat, mogliby do emerytury nauczać jako profesorowie uczelniani, gdyż tytuł profesora nadawany byłby ludziom, którzy zrobili habilitację. Po drugie, relatywizowanie habilitacji (początkowo miała być obowiązkowa, potem nieobowiązkowa, teraz ma jedynie stanowić przepustkę do tytułu profesora belwederskiego) w oczywisty sposób musi stanowić dla niektórych wygodny argument, żeby „z ostrożności” pozostać przy stanowisku profesora uczelnianego, blokując skądinąd własny rozwój naukowy i – miejsce profesora-dydaktyka z habilitacją i tytułem. Po trzecie – brak jakiegokolwiek refleksji, jakiegokolwiek pomysłu na to, w jaki sposób zadbać o rozwój umiejętności dydaktycznych pracowników wyższych uczelni. Po czwarte wreszcie, nie uwzględniono dorobku dydaktycznego w ewaluacji, parametryzacji czy, prościej mówiąc, ocenie tak indywidualnego pracownika naukowego będącego nauczycielem akademickim jak całych jednostek: wydziałów (tam gdzie uda im się pozostać dzięki woli rektora), a nawet uczelni. Tak zwana „projakościowość” (słowo-koszmarek) nie wpływa w większym stopniu na poziom studiów, a w żadnym – na poziom dydaktyków.

Może więc, zdaniem projektodawców Konstytucji dla Nauki, to kształtowanie i rozwój nauki ma jedynie znaczenie, a kształcenie przyszłych pokoleń już nie? Jeśli tak jest, popełniają wielki błąd. Rozwój nauki w Polsce jest ważny – argumentów za tym nie brakuje. Jednak kształcenie na najwyższym możliwym poziomie następców jest również ważne, jeśli wręcz nie ważniejsze. Nie tylko dlatego, że zawarte jest to w samej nazwie uczelni wyższej (a niegdyś, w sposób domniemany, w nazwie uniwersytetu jako wspólnoty uczących i będących uczonymi). I nie tylko ze względu na nazwę Ministerstwa. Przede wszystkim dlatego, że naszą powinnością jest zostawić po sobie nie tylko jakieś – oby jak największe – odkrycia naukowe, ale dlatego, że mamy obowiązek kształcenia i wykształcenia jak najlepiej tych, którzy w przyszłości będą albo sami uprawiać naukę, albo nauczać (lub jedno i drugie, jako badacze – nauczyciele akademicy), albo też po prostu współtworzyć elitę naszego kraju: świetnie wykształconą, mądrą, pełną umiejętności, które im przekażemy, których ich nauczymy. Za to również powinna wziąć odpowiedzialność ustawa i jej twórcy.

MARIA KORYTOWSKA

Uniwersytet Jagielloński



Jak zdynamizować rozwój nauki?

Rzecz jasna chodzi o dynamizację rozwoju nauki w Polsce, choć poniższe rozważania mają charakter ogólny i, być może, stosują się równie dobrze do Bułgarii czy Chorwacji. Otóż ponad rok temu, a więc nie tak dawno, miała miejsce telewizyjna dyskusja wicepremiera – ministra nauki, rektorów dwu największych uczelni Krakowa i prowadzącego program redaktora TVP na temat czynników rozwoju nauki polskiej. Poruszono kwestię deficytu polskich Nobli naukowych. Rzecz jasna nie sposób zaradzić takiemu stanowi rzeczy przez jakieś „receptury”, programy czy jakieś dobre rady.

Niemożliwe jest zaplanowanie polskiego Nobla powiedzmy z chemii na którąś tam „pięciolatkę”. Natomiast można „użyźnić glebę” pod tego typu niedeterminowalny fenomen. Ale jak to robić, żeby nie skończyło się na pięknych i wzniosłych słowach, które zresztą okażą się jałowe od samego początku?

W ostatnim czasie toczy się w naszym kraju wielonurtowa debata dotycząca podniesienia jakości życia akademickiego i nauki polskiej. W szczególności powracającym tematem bywa pytanie: czy znieść habilitacje, czy też je pozostawić. Otóż jestem sceptyczny wobec tego typu kwestii i dyskusji. Jestem przekonany, że w każdym wariantcie są możliwe zarówno pozytywne, jak i negatywne ścieżki rozwojowe – w zależności od okoliczności, których nie można przewidzieć ani zaplanować. Lepiej próbować proponować jakieś odświeżające, konkretne i treściwe projekty społeczno-educacyjne.

Dnia 28 listopada 2017 r. w Oddziale Krakowskim Polskiego Towarzystwa Matematycznego wygłosiłem prelekcję pt. *Matematyka a społeczeństwo*. Główną ideę mojego wystąpienia można streścić następująco. Od dość dawna wiadomo, iż można rozróżnić dwa typy umysłowości matematyków starszych i młodszych: taki, do którego bardziej przemawiają problemy, oraz taki, do którego bardziej przemawiają teorie. Swego czasu znany polski matematyk prof. Andrzej Schinzel, wpisał to rozróżnienie w kontekst międzyszkolnych olimpiad matematycznych, czyli swego rodzaju „kuźni” polskich talentów matematycznych – w tym, być może, przyszłych laureatów Medalu Fieldsa, odpowiednika Nagrody Nobla w matematyce. Jak dotąd, mimo światowej renomy polskiej szkoły matematycznej, datującej się jeszcze od okresu międzywojennego, żaden polski matematyk nie otrzymał tego wyróżnienia. Otóż uważam, że przyszłych laureatów Medalu Fieldsa należy szukać pośród tych młodych ludzi, którzy przejawiają szczególną skłonność do teorii w matematyce. Proponuję, żeby testem takiej skłonności i zdolności była możliwość pojęcia w młodym licealnym wieku niezwyklej teorii algebraicznej – teorii Galois. Ewaryst Galois stworzył swoją teorię – o znaczeniu przełomowym w algebrze – w wieku 18–19 lat (w Paryżu w 1830 roku), a więc w wieku licealnym! Tę romantyczną historię matematyczną od strony biograficznej przedstawił literacko w książce pt. *Wybrańcy bogów* znany fizyk teoretyk Leopold Infeld. Z powodu pośpiesznej szkicowości wywodów odkrycie młodego Ewarysta było trudne do zrozumienia nawet dla największych matematyków tamtej epoki. Jednak dzisiaj teoria Galois może być wyłożona tak, że rozumieją ją nawet utalentowani matematycznie uczniowie klas matematyczno-fizycznych czy matematyczno-infor-

matycznych liceów. Krótko mówiąc, zrozumienie teorii Galois przez dzisiejszego licealistę jest dobrym kryterium jego autentycznego utalentowania matematycznego. Co więcej, jest pewnym prognostykiem tego, że ów licealista może za jakiś czas zostać laureatem Medalu Fieldsa.

Nasuwa się pytanie: ilu takich młodych szczególnie zdolnych jest w dzisiejszej Polsce? Czy można by to w miarę dokładnie stwierdzić? Wydaje mi się, że tak – pod warunkiem konsekwentnego wysiłku organizacyjno-dydaktycznego ze strony wszystkich szczebli edukacji w kraju, poczynając od Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego, Ministerstwa Edukacji Narodowej po kuratoria, dyrekcje i nauczycieli szkół średnich. Ci ostatni – nie wszyscy, pewna „elita” pośród nich – wymagaliby szczególnego przygotowania, co z kolei byłoby wyzwaniem (owszem ambitnym, no ale jeśli chcemy wreszcie mieć Polaka z Medalem Fieldsa) dla sekcji nauczycielskich uniwersyteckich studiów matematycznych.

Trudno mi w tym miejscu wchodzić w szczegóły zarysowanego projektu. Chciałbym jednak zwrócić z naciskiem uwagę, iż nie jest on utopiijny, jak by się mogło wydawać. Naturalnie przy założeniu autentycznej gotowości włożenia skoncentrowanego wysiłku w to przedsięwzięcie elitarno-educacyjne. Z tej „elitarności” – w odróżnieniu od powszechności innych problemów edukacyjnych – może właśnie wynikać realność omawianego przedsięwzięcia. Wszakże nie łudźmy się, że polski Nobel matematyczny wyłoni się z samego klimatu ogólnych debat czy z ogólnych ustaleń na temat edukacji. Postawienie na edukacyjną matematykę w kontekście Medalu Fieldsa jest przy tym dużo tańsze, zwłaszcza dzisiaj, w porównaniu z „Noblami” przyrodniczymi, wymagającymi dużych nakładów techniczno-eksperymentalnych.

Wróćmy jeszcze na chwilę do konkretnej rzeczywistości i zakładając, że mamy już tak wyselekcjonowaną grupę talentów matematycznych, zapytajmy: co dalej z tym młodocianym potencjałem badawczo-rozwojowym, żeby go nie zmarnować? Oczywiście wielkich odkryć nie można zaplanować, ale wydaje się, iż na takiej bazie starsi mistrzowie nauki i nauczania, tutorzy, mogą coś zbudować, zainspirować. Można też tych już studentów wysłać do starannie dobranych, silnie motywujących ośrodków czy szkół badawczych na świecie. Chodziłoby o działalność, w szczególności niekonwencjonalną, w stylu Wacława Sierpińskiego – wielkiego organizatora polskiej matematyki po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku. Rzecz jasna, na miarę aktualnych uwarunkowań.

Czy podobne podejście i metody mogłyby być zastosowane w innych dziedzinach? Myślę, że tak, byleby nie robić wszystkiego na raz. Wytestujmy to na matematyce, na przykład w opisany wyżej sposób, a po pewnym sukcesie można by liczyć na oddziaływanie interdyscyplinarne. Przecież wybitny fizyk Leopold Infeld zajął się literacko inną niż swoja dziedzina. Zaś psychologowie mawiają o transferze uzdolnień i motywacji.

Konkretny podmiot społeczno-educacyjny powinien po prostu zacząć działać w określonym kierunku. Może, na początek, Polskie Towarzystwo Matematyczne, które notabene w przyszłym roku będzie obchodzić stulecie swego powstania. Potem mogliby dołączyć inni, pod efektywnym patronatem wspomnianych powyżej ministerstw.

EUGENIUSZ SZUMAKOWICZ

Instytut Ekonomii, Socjologii i Filozofii PK

Fundacja na rzecz Nauki Polskiej powinna i chce, ale czy może być jeszcze lepsza?

Szybką odpowiedź liderów FNP, profesorów Leona Gradonia i Macieja Żylicza [PAUza 413], na moje zaproszenie do dyskusji [PAUza 411] odebrałem jako dowód, że poruszony został ważny temat. Równocześnie muszę przyznać, że jestem tą odpowiedzią rozczarowany. Dlaczego?

Po pierwsze, deklarując w tytule, że Fundacja powinna i chce stać się lepsza, cały tekst poświęcony jest obronie *status quo*, bez wskazania jakichkolwiek słabych stron obecnego stanu rzeczy. Zamiast tego przytacza dane świadczące o sukcesach Fundacji i jej beneficjentów – których to sukcesów nikt przecież nie kwestionuje – i składa deklaracje dobrej woli oraz chęci osiągania ambitnych celów, szerzej omówionych w „planie pięcioletnim” [„Wyzwania dla Fundacji na lata 2016–2020” – dokument FNP].

Po drugie, ogranicza się w dużej mierze do przypomnienia znanych zasad i procedur obowiązujących w FNP (niektóre z nich przytaczałem już w moim tekście), nie podejmując rzeczowej polemiki z moimi uwagami, argumentami i sugestiami. Część z nich ignoruje, a część bez uzasadnienia odrzuca.

Po trzecie, nie twierdziłem, jak piszą autorzy, że kryteria przyznawania nagrody FNP są niewłaściwe, tylko że są nietrwałe, zbyt strzeliste i nierealistycznie formułowane oraz niekonsekwentnie stosowane. O ile wiem, to wszystkie wysoce cenione nagrody mają trwałe regulamin, a jego dopasowywanie do zmieniających się warunków, co profesorowie Gradoń i Żylicz uważają za zaletę, z pewnością zaletą nie jest w przypadku nagrody aspirującej do miana prestiżowej.

Po czwarte, w czasach gdy większość wybitnych rezultatów powstaje w wieloosobowych zespołach, tylko w wyjątkowych przypadkach można **jednoznacznie** przypisać osiągnięcie **jednej** osobie. A jak piszą autorzy odpowiedzi, warunek taki, choć obarczony dużą dozą subiektywizmu, znajduje się w regulaminie Nagrody FNP. Gdyby, na przykład, istniał on w regulaminie Nagrody Nobla, to wiele przełomowych odkryć nie mogłoby być Noblem uhonorowanych.

Po piąte, wbrew zaprezentowanej opinii uważam, że o międzynarodowym prestiżu konkretnej nagrody nie świadczy to, że kandydatów opiniują zagraniczni recenzenci, lecz to, że kandydaci do nagrody mogą pochodzić z całego świata, niezależnie od obywatelstwa, narodowości oraz miejsca i czasu prowadzenia badań.

Po szóste, odpowiadając na moją uwagę, że wybór beneficjentów programów FNP poprzez konkursy dające pierwszeństwo jakości projektów pozostaje w sprzeczności z naczelną dewizą Fundacji („Wspierać najlepszych, aby mogli stać się jeszcze lepsi”), profesorowie Gradoń i Żylicz piszą: „W ocenie wniosków grantowych [...] tak samo ważna jak oryginalność proponowanego projektu jest jakość oraz oryginalność dotychczasowych osiągnięć naukowych”. Moim zdaniem, najlepsi naukowcy znajdują się wśród tych, o których świadczą wybitne osiągnięcia, a nie składane przez nich projekty, których wartość można docenić dopiero *ex post*. W związku z tym uważam, że przywiązywanie takiej samej wagi do jakości projektu – której ocena jest znacznie trudniejsza i ryzykowna – jak do jakości dorobku badacza, nie jest właściwe. Bowiem „bezcelowe” (*no strings attached*) finansowanie badań zespołu o wybitnym oryginalnym dorobku stwarza lepsze warunki do myślenia niezależnego i odważnego, nieskrępowanego ramami projektu, na który otrzymano fundusze. Sprzyja to unikaniu naśladownictwa. Przykładem niech będzie Basel Institute for Immunology (BII-niestety zlikwidowany) oraz Howard Hughes Medical Institute (HHMI), który przyznaje pieniądze wyróżniającym się aktywnym uczonym bez konieczności składania szczegółowych projektów. Strategia ta, jak wiadomo, przyniosła spektakularne sukcesy. Trzech badaczy z BII i niemal trzydziestu badaczy HHMI otrzymało prawdziwą Nagrodę Nobla. Nie oznacza to oczywiście, że wszystkie programy FNP powinny kierować się tą strategią, ale moim zdaniem, te najambitniejsze, tak.

Nie mam wątpliwości, że FNP chce być lepsza.

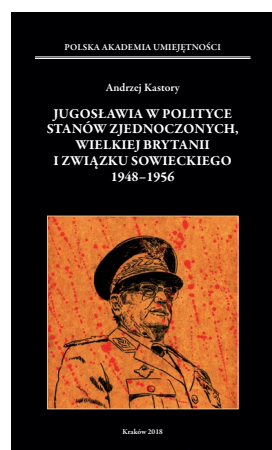
PAWEŁ KISIELOW

Instytut Immunologii i Terapii Doświadczalnej PAN

WYDAWNICTWO PAU POLECA...

Andrzej Kastory

Jugosławia w polityce Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Związku Sowieckiego 1948–1956

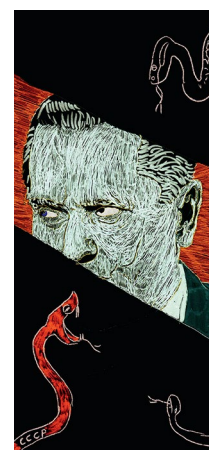


Monografia stawiająca sobie za cel ukazanie motywów i interesów, jakimi wobec Jugosławii kierowały się wielkie mocarstwa stanowiące w czasie wojny wielką koalicję – Wielka Brytania, Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki – okazuje się fascynującą lekturą i jestem przekonany, że będzie nią także dla Czytelnika. Autor łączy bowiem w sposób mogący budzić podziw rygorystyczny wykład uniwersytecki z umiejętnością przystępnej narracji. Monografia jest zarazem interesującym wykładem z zakresu historii dyplomacji w odniesieniu do najgorętszego okresu zimnej wojny i cennym wkładem do debaty na temat roli małych państw w polityce mocarstw.

(z recenzji prof. Józefa Łaptosa)

Autorowi znakomicie udało się poprowadzenie czytelnika przez gąszcz wydarzeń, wyrażanych opinii, oficjalnych stanowisk, wystąpień i wypowiedzi, tak iż czytelnik nie gubi się w całej tej skomplikowanej grze międzynarodowych interesów. Przeciwnie, prowadzona narracja jest przejrzysta, logiczna, akcentująca najważniejsze wydarzenia i wypowiedzi, dająca bardzo klarowny obraz położenia Jugosławii oraz polityki mocarstw wobec niej w latach 1948–1956.

(z recenzji prof. Mirosława Dymarskiego)



zaPAU

Socjolodzy w akcji

Dzięki uprzejmości Pani Profesor Joanny Kurczewskiej zostałem jakiś czas temu właścicielem grubego (prawie 700 stron), zredagowanego przez nią tomu pt. *Przemiany kulturowe we współczesnej Polsce; ramy, właściwości, epizody*, bardzo starannie wydanego przez Instytut Filozofii i Socjologii PAN. Chwilę trwało, zanim zdjąłem go z półki, wziąłem do ręki i zacząłem przeglądać, bo objętość przerażała. Tylko przeglądać, a nie czytać, bo przeczytanie 700 stron dla „ściślaka” to zadanie ponad siły. Tytuły poszczególnych esejów okazały się jednak tak interesujące, że w końcu podjąłem heroiczną decyzję zapoznania się z treścią i wszystko wskazuje na to, że będę do książki wracał. Tutaj przytoczę tylko kilka z nich (niektóre skracam, z braku miejsca): *Uwagi o sile retoryki i radykalnych skutkach jej stosowania; Radykalizmy polityczne; Patriotyzm i emocje; Chłop polski w PRLu (i potem); Elity towarzyskie III RP; Pamięć społeczności lokalnej – przykład Michniowa; Współczesne graffiti; Administracja publiczna wobec cudzoziemców; Migranci z miast i miejscowi – co ich łączy?; Przystępna religijność w nowym sanktuarium (Licheń); Od kultury „książeczki mieszkaniowej” do kultury „kredytu hipotecznego”...*

Dzisiaj zatrzymam się krótko na tekście Ilony i Jakuba Wyszczepała Ślady historycznego doświadczenia w wyborach życiowych współczesnych Polaków. W pracy przedstawione są wyniki badania, któremu poddano 1700 osób. Zapytano je najpierw, jakie wydarzenie polityczne (od 1939 roku) uważają za najważniejsze. Okazało się, że najwięcej odpowiedzi (około 700) było zgrupowane w trzech kategoriach: pierwsza Solidarność (pS), stan wojenny (sw) i transformacja ustrojowa (tr). Następnie zbadano preferencje społeczno-polityczne w tych trzech grupach.

Sprawa mnie zainteresowała, bo chciałem sprawdzić, czy miałem rację, pisząc miesiąc temu („PAUza” 411), że znaczna część Polaków nie jest specjalnie przywiązana do demokracji. Z satysfakcją (ale i z pewnym przerażeniem) stwierdziłem, że rzeczywiście poprawnie oceniłem stan rzeczy. Na pytanie: czy demokracja jest najlepszą formą rządów, pozytywnej odpowiedzi udzieliła mniej niż połowa badanych. Nieco lepszy wynik był tylko w grupie (tr). Około 20% uważa, że rządy niedemokratyczne są czasem lepsze, a dla 30% jest po prostu wszystko jedno. Mało tego: połowa badanych uważa, że jeśli rządzący dobrze dbają o dobro obywateli, to ciągłe wybory do władz nie są potrzebne! Nawet w grupie (tr) znajdujemy 40% takich opinii.

Interesująca jest też konstatacja, że w grupach (pS) i (sw) przeszło 60% respondentów uważa, że socjalizm przyniósł więcej lub tyle samo korzyści co strat, a tylko około 25% mówi, że więcej strat niż korzyści. Proporcje te są nieco złagodzone w grupie (tr). Ten wynik mnie zdumiał, bo dramatycznie kontrastuje z moim osobistym poglądem (i większości moich znajomych). To jeszcze jeden przykład, jak bardzo opinie małych, wyizolowanych grup mogą różnić się od powszechnych. I jak ostrożnie trzeba podchodzić do uogólniania osobistych doświadczeń.

Niestety, liczba osób poddanych badaniu była niewielka, więc błędy statystyczne zapewne są duże (ten problem autorzy po prostu ignorują). Niemniej trendy są widoczne i doprawdy niepokojące. Jeżeli bowiem rzeczywiście dla trzeciej części Polaków obojętne jest, czy żyją w ustroju demokratycznym, czy niedemokratycznym, to jest się czym martwić. Prawdopodobnie ta grupa zupełnie nie widzi związku wolności z demokracją. W dodatku demokracja kojarzy im się zapewne z anarchią. Bo trudno mi uwierzyć, że tak wielu Polaków nie preferuje życia w kraju, gdzie przestrzega się wolności obywatelskich, w porównaniu z krajem, gdzie te wolności mogą być ograniczane lub łamane.

Narzuca się anegdota, którą (chyba) już raz cytowałem. Podobno pewnego razu bogaty kolekcjoner przyszedł do pracowni Picassa i – oglądając znajdujące się tam obrazy mistrza – stwierdził: kupiłbym coś od Pana, ale – niestety – zupełnie nic z tego nowoczesnego malarstwa nie rozumiem. Na to Picasso: a język chiński Pan rozumie? – Nie rozumiem, ale co to ma do rzeczy? odparł zapytany. Bo widzi Pan, kontynuował Picasso, aby rozumieć chiński język, trzeba się go nauczyć. Tak samo jest z nowoczesnym malarstwem.

I tak samo jest, dodajmy, z demokracją. Trzeba zrozumieć, dlaczego to ważna sprawa, nauczyć się, na czym demokracja polega, jakie są jej zasady, jakie są jej instytucje, jak znaleźć w niej swoje miejsce. A to długi, trudny i czasem bolesny proces. Tę naukę winniśmy oczywiście odbierać przede wszystkim w szkole. Niestety, polska szkoła albo ten obowiązek zaniedbała, albo nie robi tego najlepiej, bo – jak widać – wyniki są niezbyt budujące. Powtarzam więc apel z poprzedniego felietonu („PAUza” 411): weźmy sprawę w swoje ręce, pomóżmy chętnym do tej nauki, dostarczmy im informacji. Prostej, krótkiej i powszechnie dostępnej.

ABBA

PAUza Akademicka – www.pauza.krakow.pl – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Janusz Limon, Ewa Lipska, Stanisław Rodziński, Piotr Sztompka, Marta Wyka, Jerzy Wyrozumski, Jakub Zakrzewski, Franciszek Ziejka.

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Borowski, Andrzej Kobos, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Ryszard Otręba – „Galeria PAUzy”; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzoskowski, Monika Mentel – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31–016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.